



**PIOTR BOROWIEC**

**FRAGMENT**

**POLSKIE  
UPIORY**

**głód**

POLSKIE UPIORY

Copyright © by Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba sp.j.

Copyright © by Piotr Borowiec

Wrocław 2018

*Wszelkie prawa zastrzeżone.*

*All rights reserved.*

Korekta i redakcja:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

KAMILA ŚWIĄTKOWSKA

JUSTYNA MASERAK

Skład:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Ilustracja na okładce:

BARTOSZ WOJDYGA

fragment książki

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana  
w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie  
z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych  
systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

ul. Domeyki 16 53-209 Wrocław

www.gmork.pl

email: wydawnictwo@gmork.pl

tel: 795 626 546

**PIOTR BOROWIEC**

# **POLSKIE UPIORY**



## SPIRALA

Naprawdę chcecie wiedzieć?

Napiszę wam wszystko, korzystając z tego, iż mam władzę przynajmniej w prawej ręce. Nie jestem w stanie chodzić, mówić, większość ciała została sparaliżowana. Kula przeszła przez rdzeń kręgowy, lecz jedynie naruszyła go, nie przerwała. Uszkodziła tkanki, zrywając połączenia układu nerwowego, pozmieniała neurony spotkane po drodze w miazgę. Prawie udana próba samobójcza. Przeprowadzona prawidłowo, włożyłem lufę w usta, wepchnąłem głęboko, nie przejmując się smrodem smaru i tym, że metal rani dziąsła. Kilka minut wcześniej widziałem, jak w ten sam sposób odebrał sobie życie Marek. Nadzwyczajnie udana próba samobójcza. Naciśnął spust, huk wstrząsnął szybami zaniedbanego domu, na tapecie za moim przyjacielem... moim byłym przyjacielem rozkwitł bordowy kwiat. Nie, makabryczny znak nie przypominał kwiatu. Krew, odłamki kości i mózgu nie ułożyły się w płatki, lecz w kształt, który przypominał mi spiralę. W jej centrum tkwił kilkugramowy kawałek ołowiu, który uwolnił Marka od przekleństwa. Albo od konieczności przekazania przekleństwa komuś innemu.

Tak to się dla niego skończyło; tak, jak dla nas wszystkich zaczęło – prostym, znanym wszystkim znakiem. Coś wręcz trywialnego, kojarzącego się z banalnymi przedmiotami: sprężyną, wirem, muszlą bezkręgowca, jest w istocie najstraszniejszym symbolem, kryje się za nim wszystko. Dosłownie WSZYSTKO. Jest bramą, jest kluczem, jest warunkiem

*sine qua non* osiągnięcia wiedzy absolutnej. Nie do zniesienia.

Dzwoniąc do mnie, Marek znał przyszłość, musiał mieć świadomość, że wybierając się do niego, wezmę broń. Wiedział, że przyjadę. Wiedział, co się zdarzy albo się zdarzyć może, jakie są prawdopodobne drogi rozwoju sytuacji albo jaki jest jej jedyny możliwy finał. Który z punktów na płaskiej krzywej jest bliżej centrum.

– Paweł... przyjedź. Musisz mi pomóc to skończyć – niewyraźny głos w słuchawce telefonu. Obłąd i rany uniemożliwiały Markowi prawidłowe artykułowanie słów.

– Nie.

– Znam sposoby, by cię zmusić.

– Znasz, to fakt, ale niekoniecznie jesteś w stanie. Nie przyjadę.

– Przyjedziesz, też chcesz to zakończyć albo rozpocząć na nowo. Wcale nie czujesz się dobrze. Prawda?

Marek właśnie tym skłonił mnie do przyjazdu: obietnicą, że skończymy to razem. Gdy już otwierałem samochód, cofnąłem się i wszedłem z powrotem do domu. Broń ukrywałem w sejfie, w którym oprócz pistoletu i amunicji nie chowałem niczego wartościowego. Zabezpieczonego glocka wetknąłem za pasek od spodni.

Dwie godziny później zaparkowałem przed brzydkiem, piętrowym budynkiem w małej wsi pod Krakowem. Ja wychowałem się dwie ulice dalej, tkwiłem w tej cholernej dziurze do rozpoczęcia studiów dziennikarskich. Podobnie jak Marek, który powrócił tu, gdy został wypisany ze szpitala, a obłąd zniszczył jakiegokolwiek szanse na normalne funkcjonowanie. W jego domu rodzinnym wówczas mieszkała tylko siostra. Wyprowadziła się, zapłakana, niesiona histerią oraz poczuciem winy, po tym, jak brat powiedział dziewczynie, że zna szczegóły śmierci matki. Opisał wszystko dokładnie, spokojnym i cichym głosem człowieka, który nie ma pretensji. Staruszka ciężko chorowała, leki tanie nie są, ani opieka prosta. Pewnego wieczoru Marzenka po prostu nie podała wszystkich tabletek.

Nikt tego dokładnie nie sprawdzał, wszyscy uznali zgon za naturalną śmierć po wieloletniej walce o następny dzień życia.

Oczywiście Marek zrobił to celowo. Zdawał sobie sprawę, że Marzena nie będzie w stanie mieszkać z kimś, kto ma świadomość, jak bardzo pragnęła śmierci matki. Chciał być sam i został tu sam, w niszczącym domu, razem ze swoją wiedzą.

Wszedłem, nie pukając, od razu skierowałem się szybkim krokiem na piętro. W domu potwornie śmierdziało, odór świadczył o tym, że jedyny lokator nie przejmując się zmianą pościeli, splukiwaniem toalety czy gnijącą żywnością w lodówce. Marek siedział w swoim pokoju, wpatrując się przez okno w rozgwieżdżone niebo. Od tygodni nie wstał z tego miejsca. Palce kurczowo zaciśnięte na poręczy fotela, wzrok wbity w szybę, uporczywa, bezsensowna walka, aby odsunąć od siebie to wszystko, co wiedział.

A wiedział wszystko.

– Daj mi broń. – Nie przywitał się, w żaden sposób nie skomentował mojego przybycia, nawet nie drgnął. Od razu przeszedł do konkretów.

– Marek...

– Co, będziesz mnie przekonywał, że życie ma sens? Uwierzyć mi, nie ma. Kogoś, kto wie wszystko, nie można przekonać do niczego. Prawda? I powiem ci coś jeszcze, coś o tobie...

Przerwał, aby z trudem wstać. Odwrócił się do mnie, w świetle latarni wyraźnie zobaczyłem jego twarz. Od czoła aż po podbródek biegły różowe blizny. Ostrze noża odcięło spory kawałek małżowiny usznej i nosa, uszkodziło jedno z oczu, porozcinało wargi. Lekarze uznali, że autoagresja jest jednym z objawów postępującej schizofrenii. Prawda okazała się bardziej skomplikowana.

– Otóż, Pawle, przyjechałeś do mnie, mając nadzieję, że powiem ci, gdzie jest księga. Z drugiej strony, rozważasz też pożegnanie się z życiem. Tak jak Moszczyński. Tęsknisz za absolutną wiedzą, zdając sobie sprawę, jaka jest nieznośna.

Teraz masz poczucie, że jesteś nikim i niczym, jak wszyscy ludzie na świecie. Chcesz zrobić to co ja albo jeszcze raz wypowiedzieć zaklęcie i poczuć się... poczuć, że jesteś jak wszystkie wszechświaty. Przypomnieć sobie. Gdy byłeś na moim miejscu, to modliłeś się, aby ktoś zdjął z ciebie to przekleństwo. A kiedy się udało, zdałeś sobie sprawę, jak beznadziejnie nudna jest normalność.

– Zanim strzelisz sobie w łeb, powiesz mi, co wybiorę? – Położyłem broń na stole przed nim.

– Obie rzeczy: być jak bóg-idiota oraz umrzeć. *Księga Spirali* jest w piwnicy.

Szybko podniósł broń, wepchnął w usta i nacisnął spust. Gdy ciało upadło na podłogę, ja odwróciłem się i zszedłem na dół, do piwnicy.

W ciemnym pomieszczeniu zapach spalenizny przytłumił smród rozkładu. Nie musiałem długo szukać, to, co zostało z woluminu, znalazłem zaraz przy schodach. Ogień strawił prawie wszystko oprócz skórzanej oprawy i karty tytułowej, na której kamień litograficzny odbił przekłety symbol. Nie będę w stanie nic odczytać, a co gorsza, nie pamiętałem zaklęcia.

Sukinsyn.

Miał rację, wybrałem obie rzeczy, lecz obu nie otrzymałem. Sąsiedzi, zaalarmowani hukiem wystrzału, wezwali policję. Funkcjonariusze udzielili mi pierwszej pomocy, błyskawicznie przetransportowali do szpitala. Przytomność odzyskałem kilka dni później.

\*\*\*

Próbowali mnie przesłuchiwać. Pytali i oczekiwali odpowiedzi na piśmie, skoro nie potrafię mówić. Proszę opisać wydarzenia, jakie poprzedziły wypadek? Czy nakłaniał pan denata do samobójstwa? Jaki był jego stan psychiczny w momencie zdarzenia?

Rozumiem, w przypadku samobójstwa prokuratura musi



sprawdzić, czy nie doszło do przestępstwa nakłaniania lub ułatwiania targnięcia się na życie. Rutyna i standardowe procedury, a przy tym idiotyzm. Absurdalność tych pytań wynika chociażby z informacji zawartych w naszych kartach chorobowych. Były lekarz i były dziennikarz, z problemami psychiatrycznymi, ze skłonnościami do autoagresji. A zbliżowana pani prokurator pytała, w jakim znajdowaliśmy się stanie psychicznym.

Nic im nie napisałem. Jednak gdy prawniczka odwiedziła mnie ostatni raz, tylko po to, aby życzyć szybkiego powrotu do zdrowia oraz poinformować mnie, że nie znalazła podstaw do wszczęcia postępowania karnego, uznałem opisanie wszystkiego za dobry pomysł. Spisać to, co przeżyłem. Może dzięki temu będę w stanie przypomnieć sobie tekst zaklęcia. Inwokacja to tylko konwenans, nieistotny element rytuału. Liczy się tylko tych kilkanaście sylab, które wypowiem, stojąc w środku narysowanej spirali.

Chciałbym poczuć to jeszcze raz, rozumieć wszystko, znać każdą przyczynę i każdy skutek. My potrzebujemy WIEDZIEĆ, ta potrzeba, silniejsza niż u innych ludzi powodowała, że wybraliśmy taką, a nie inną drogę życia: ja, Marek i Moszczyński. Dziennikarz, doktor nauk medycznych i historyk.

Z tym, że Marek przeżył to najgorzej. Jego szaleństwo było najgwałtowniejsze, najbardziej destruktywne, najszybciej też stracił kontrolę nad sobą. Już w dwa tygodnie po tym, jak dostał księgę, zniszczył wszystko wokół. Spotkałem wtedy jego kolegę ze szpitala, tamtejszego kapelana, który opowiedział mi, co się stało. Szedłem przez zatopiony w wiosennym słońcu Kraków. Spacerowałem po prostu, szczęśliwy i spokojny, mijałem ludzi, nie znając ich przeszłości, podziwiałem budynki, nie znając ich historii, pokonywałem kolejne metry, nie zdając sobie sprawy, kto szedł przede mną i kto pójdzie po mnie. Zwyczajny człowiek, wolny od nieskończonej ilości informacji, w tym wielu takich, których nie powinien posiadać nikt.

Naprawdę, nikt. Tęsknić za tym zacząłem później, a w tamtej chwili czułem jedynie ulgę.

Ksiądz szedł z naprzeciwka, nie zauważyłem go w tłumie anonimowych już dla mnie ludzi. Gdybym rozpoznał go wcześniej, przeszedłbym na drugą stronę ulicy, odwrócił się, uciekł jakoś.

– Och, pan Paweł! Dobrze, naprawdę dobrze, że pana spotkałem!

Przyjrzałem mu się zdziwiony. Łysa czaszka, z naciągniętą na nią, pomarszczoną ze starości skórą. Spod siwych brwi wpatrywały się we mnie zmęczone oczy mądrego puchacza. Nawet w tamtej chwili myślałem, że gdyby dalej spoczywało na mnie przekleństwo boga-idioty, to wiedziałbym o spotkanej osobie wszystko. A tak nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie już go widziałem.

– Tak, no tak, nie pamięta pan naszego spotkania. Cóż, kilka razy odwiedził pan naszego przyjaciela Marka Mikołajczyka u nas w szpitalu. Kojarzy już mnie pan?

Kojarzyłem, jasne, lecz w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Usłyszałem nazwisko człowieka, który przeze mnie oszalał albo wkrótce oszaleje. Z początku nie chciałem słuchać tego, co stary ksiądz ma do powiedzenia. Poczułem się zbity z tropu i dezorientowany, nie miałem pojęcia, co robić. Zignorować go i odejść? Zaprzeczyć, „proszę księdza, to jakaś pomyłka”? Więc stałem i słuchałem. A może chciałem poznać konsekwencje swoich czynów? Nieważne, kapłan mówił dalej:

– Z naszym przyjacielem dzieje się coś niedobrego. Nie chcę używać poważnie brzmiących słów ani stawiać diagnoz, do których nie jestem upoważniony, jednak, wie pan, Marek albo oszalał... albo, cóż...

*Albo został opętany* – dokończyłem w myślach.

– Przykro mi, to straszne – tyle mniej więcej zdołałem wykrztusić.

– Naprawdę! Od tygodnia nie pojawił się w pracy. Wcze-

śniej przez kilka dni zachowywał się dziwnie. Tak nagle, nic wcześniej nie wskazywało, że ma... cóż... problemy. W szpitalu albo nie odzywał się, albo mówił ludziom rzeczy bardzo nieprzyjemne. Odmawiał podejmowania obowiązków, twierdząc, że nie ma sensu leczyć pacjentów, skoro i tak umrą, a on wie kiedy. Kilka razy zarzucił kolegom kłamstwo, słysząc ich rozmowy. Jakieś drobne sprawy, zupełnie Marka niedotyczące. Nie potrafił skoncentrować się na najprostszych czynnościach, sprawiał wrażenie albo totalnie nieobecnego... albo... jakby to powiedzieć. Wręcz odwrotnie. Najgorzej to ostatniego dnia, ordynator chciał już kogoś wezwać... wie pan, z oddziału psychiatryczno-neurologicznego.

Książd przerwał na chwilę swoją opowieść. Westchnął, prawą rękę przyłożył do karku, aby poluzować sztywną kolo-ratkę. Uświadomiłem sobie, że nie odejdę od niego, nie ucieknę pod byle pretekstem. I tu nie chodziło o mojego następcę, o nie. Chodziło mi o mnie.

Bo widzicie, cholera, ja prawie nic nie pamiętam.

– No więc, wie pan... on przyszedł do pracy w złym stanie. To znaczy, źle wyglądał. Nieogolony, brudny, w nieświeżych ubraniach. Mamrotał coś pod nosem, nie zwracał uwagi na polecenia ani na pytania. Chyba próbował, jakoś... nie wiem... zwalczyć to, co się z nim działo. Nie był jednak w stanie podjąć obowiązków. Po godzinie bezsensownego włóczenia się po szpitalu stanął przy oknie na klatce schodowej i po prostu patrzył przez nie. Mamrotał coś do siebie. Ordynator, Michalski, nie chciał robić zamieszania, wie pan, to oddział geriatryczny. Nie chciał wzywać pielęgniarzy ani wszczynać procedury przymusowego badania psychiatrycznego, tym bardziej, że w sumie nie stwierdziliśmy, że... że chory stwarza jakieś niebezpieczeństwo. Ja z nim zawsze dużo rozmawiałem... bo, wie pan, przecież Marek to bardzo wierzący człowiek. No więc doktor Michalski poprosił mnie, abym to ja porozmawiał z Markiem. Podszedłem, próbowałem zagadać.

On mówił do siebie, jakieś dziwne rzeczy, bardzo chaotyczne.

Książd kolejny raz przerwał, poprawił znowu koloratkę, przetarł spocone czoło. Wykorzystałem sekundę ciszy, aby zadać pytanie:

– Co mówił? – Głos mi drżał z ciekawości i niepokoju. Pomyślałem, że jeśli usłyszę dokładnie, jak wyglądają objawy przekleństwa, może zacznę sobie przypominać to, co wiedziałem. Chociażby ułamek.

– Cóż, ja bym to nazwał belkotem... wtedy... bo potem... No nieważne. Mówił o tym, co widzi, może myśli, a może wie. Strasznie chaotycznie. O ludziach, o zdarzeniach, o przyszłości. Bardzo szybko wypowiadał słowa, tak na zasadzie skojarzeń. Abstrakcyjnych, ale niezwykle... niepokojących. Zwrócił na mnie uwagę dopiero za trzecim razem, gdy go zawołałem. Odwrócił się do mnie i powiedział: „Ty! To ty! Jesteś bardzo ważnym punktem na spirali! To już nie może być księga”. Poprosiłem, czy nie mógłbym go odwiedzić do domu, tam byśmy porozmawiali. On po prostu wyszedł i... teraz jest w szpitalu.

– Co się stało? – spytałem już bardzo opanowanym głosem. Kapłan, zanim odpowiedział, pokiwał powoli głową.

– Taaak... Odwiedziłem Marka pięć dni później. Gdy zobaczyłem go w drzwiach... to niewyobrażalne! Nie do opisanego. On okaleczył sobie twarz, przyjął mnie zakrwawiony, z policzkami i ustami zmasakrowanymi czymś ostrym. Ja oniemiałem. On był taki spokojny, panie Pawle, taki spokojny! Otworzył mi drzwi i wpuścił do środka. I zaczął mówić. Wyjaśnił, że nabył wiedzę, nieludzką i ponad pojęcie. Ból i rany miały mu pomóc, jak to mówił, utrzymać się na powierzchni. Nie pogrążyć się w nieskończonej otchłani informacji, bo instrumenty do ich przetwarzania są jak najbardziej ludzkie. Postukał się w głowę. A potem mi powiedział, że jestem już niepotrzebny i żebym się wynosił.

A więc jednak. Strzępy wspomnień tych dni, to, jak zabrali mnie wtedy na pogotowie. Psychiatra. Histeria Emilii, mojej byłej żony. Co ja jej powiedziałem? Co zrobiłem? Czego miałem świadomość? My naprawdę szalejemy, jeśli jesteśmy

obarczeni przekleństwem. Umysł jest jak puste naczynie, ta wiedza jak cały ocean. Jeśli próbować wlać ocen do wiadra, to drugie zawsze pęknie. Raczej prędzej niż później.

– On po prostu jest chory, proszę...

– Nie. – Kapłan po raz kolejny pokiwał głową. – To coś więcej. Bo wie pan, ja poszedłem na pogotowie. Wróciłem z sanitariuszami. Przyszliśmy po niego, on się nie opierał. Spokojny, tak jak poprzednio. I powiedział mi coś na odchodnym. Dwie sprawy. Po pierwsze, że wtedy, w czerwcu, gdy odwiedziłem Bazylikę Grobu Świętego w Jerozolimie i miałem kryzys wiary, to miałem rację. Boga nie ma, a ja służę ogłupianiu ludzi. Po drugie... on powiedział mi, że siostra w szpitalu bardzo chciała, żebym przyszedł i faktycznie, wściekła się na mnie, że musi umierać sama. Rozumie pan, co to oznacza?

To oznacza, że otrzymałem kolejny dowód na to, że przez pewien czas faktycznie ciążyło na mnie przekleństwo, które przeszło na mojego przyjaciela. Nic mi to nie dawało, nawet okrucy tego, co poznałem wcześniej, nie chciały do mnie wracać.

– To jest jakaś siła nieczysta. Ja nigdy, powtarzam, nigdy nie dzieliłem się z nikim, nawet ze spowiednikiem tymi wątpliwościami. I powiem panu coś, o czym myślałem ostatnio. Pan również miał problemy, prawda? Załamanie nerwowe, żona odeszła. A objawy tego załamania, z tego, co mi powiedziano, były podobne do tych u Marka. A teraz on... to samo przechodzi. I tak się zastanawiam, czy wie pan, co może...

Odszedłem bardzo szybko, nie dałem kapłanowi szansy na zapytanie mnie tonem już mniej przyjemnym, czy przypuszczam, co też mogło być przyczyną obecnego stanu Marka. Całe moje zadowolenie, że uniknąłem przekleństwa, odeszło, aby już nigdy nie wrócić.

Poczucie winy, uczucie upokarzająco wręcz banalne, oraz nadzieja, że wiedza jakoś wróci, zmuszały mnie do zainteresowania się losem mojego przyjaciela. Moim byłym przyjacielem. Wypisano go ze szpitala już trzy dni później. Lekarz, który

podjął decyzję, nie chciał o niej rozmawiać. Nie mam pojęcia, jak go Marek zmusił. Boże, przecież wiedział o ludziach wszystko. Zostawił mieszkanie w Krakowie, przeniósł się do domu rodzinnego. Marzena zadzwoniła tego samego wieczoru, rozhisteryzowana, aby zwierzyć się, co usłyszała od brata. Ja nie miałem ochoty ani jej pocieszać, ani wyjaśniać, ani wysłuchiwać. Nie interesowały mnie jej wyrzuty sumienia ani strach, że ktoś zna jej tajemnicę.

Cały czas zastanawiałem się, czy Marek ma ze sobą księgę.

\*\*\*

Paczka przysłała do mnie po trzech tygodniach bezczynności. Blokada, brak pomysłów, a nawet coś głębszego – poczucie totalnego bezsensu, bezwartościowości tego, co robię. Cztery miesiące wcześniej ukazała się moja książka *Najciemniejsza z białych kopert*, zbiór kilku reportaży śledczych. Podobno najlepszych w karierze, lecz pochwalne recenzje oraz gwiazdki przy tytule na [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl) tylko mnie irytowały.

Pisałem o polskich najemnikach walczących w prywatnych firmach w Iraku, gangsterze z Pruszkowa, który po odbyciu piętnastu lat kary wyszedł na wolność i założył sektę, korupcji w seminariach duchownych oraz tuszowaniu mobbingu w gigantycznych korporacjach. Ostre, gniewne dziennikarstwo, za które zbierałem nagrody i dostawałem listy z pogrózkami.

Z tym, że ja już nie potrafiłem pisać ostrego, gniewnego dziennikarstwa. Skończył mi się zapał, może to głupio brzmi, ale tak się właśnie stało. Do wygrzebywania brudu, opisywania go, poznawania i sprzedawania czytelnikom potrzebna jest pałaca ciekawość. Co jest za zasłoną rzeczywistości? Jaka jest prawda o ludzkiej duszy? Kim naprawdę jest człowiek? Zacząłem odkrywać machlojki, demaskować konspiracje, oskarżać winnych i bronić skrzywdzonych, aby uszczknąć trochę wiedzy wyższej. Wydawało mi się, że mogę i że powinienem. Coś więcej niż

romantyczne wyobrażenie o dziennikarstwie oraz marzenie, że kiedyś ujawnię skandal na miarę afery Rywina. Chciałem dostosować polską szkołę reportażu do potrzeb społecznych XXI wieku. Chciałem być znany, a jakże. Lecz przede wszystkim pragnąłem dowiedzieć się prawdy przez zajebicie duże P.

Fakt, że ochrzcili mnie w „Polityce” mianem „Kapuścińskiego polskiego reportażu śledczego”, w ogóle mnie nie ucieszył. Interesowało mnie to tyle, co eunucha premiery filmów pornograficznych. Nie o to mi przecież chodziło. Nie udało mi się poznać prawdy o rzeczywistości, o tym czym-jest-to-co-jest. Ile bym nie ujawnił skorumpowanych polityków, to i tak nie wiedziałbym, jak zepsuta jest władza. Ile bym nie wskazał kombinacji potężnych korporacji, to i tak nie dowiedziałbym się, jak duży jest ich wpływ na społeczeństwo. Ile bym nie przeprowadził rozmów ze zgwałconymi dziewczynami i gwałcicielami w połowie odsiadki, nigdy bym nie poznał odpowiedzi na pytanie: „dlaczego ludzie gwałcą?”

Księgę opakowaną w szary papier otrzymałem w momencie, gdy zdałem sobie sprawę, że mieszając patykiem po powierzchni szamba, nigdy nie zbadam, jak jest głębokie. Związana sznurkiem paczka, na wierzchu ktoś flamastrem napisał „Dla Pawła Zielińskiego. Nadawca: doktor Kazimierz Moszczyński”. Otrzymałem różne rzeczy: dokumenty, zdjęcia albo anonimowe zapewnienia, że jeśli nie odpuszczę, to ktoś na moich oczach wybiję wszystkie zęby żonie i użyje sobie na jej ustach. Książek nie dostałem nigdy, to już nie te czasy, aby ważne informacje przekazywać w opasłych tomach.

W niepozornej paczce znajdowała się książka oprawiona teczkowo, z poślódkowymi kartami objętymi przez twardą, tekturową okładzinę. Na pierwszej stronie znalazłem tylko litografię przedstawiającą spiralę. Na następnej zobaczyłem też tytuł nawiązujący do znaku. *The Book of Spiral*, Londyn 1912. Zamiast nazwiska autora, jedynie jego inicjały. J.K.L.

Ktoś mi przysłał antykwaryczną księgę. Intrygujące. List

dołączony do woluminu był już nie tyle intrygujący, co wręcz niepokojący. „Szanowny Panie Pawle! Nazywam się Kazimierz Moszczyński i zatrudniono mnie na stanowisku adiunkta na wydziale socjologiczno-historycznym Uniwersytetu Rzeszowskiego. Przesyłam Panu pewną pozycję, którą otrzymałem od mojego kolegi z zagranicy, która to księga być może pozwoli Panu znaleźć odpowiedzi na nurtujące pytania, na przykład dotyczące sposobu, w jaki jeden z bohaterów pańskiego reportażu zrekrutował pierwszą swoją ofiarę. Chodzi mi tutaj o tekst o sektach. Pozna pan prawdę, a w zasadzie nie prawdę, ale Prawdę”.

Mimo usilnych starań nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób ten cholerny bandyta nakłonił osiemnastoletnią dziewczynę z dobrego domu do zamieszkania z nim, uprawiania z nim seksu, oddania mu ukradzionych rodzicom pieniędzy, a w końcu do założenia apokaliptycznej grupy religijnej oraz popełnienia samobójstwa na oczach innych mieszkańców Domu Ostatniego Millenium. Gdy przeczytałem napisaną odręcznie wiadomość, nie zastanawiałem się, w jaki niby sposób stara książka ma mi pomóc pozyskać odpowiedzi na te akurat pytania. Niedowierzałem, zszokowany wręcz, skąd facet wiedział, iż mnie to nurtuje. Nikomu nie mówiłem, że nie znam początku historii. Uznałem to za dziennikarską porażkę, a ja bardzo nie lubię mówić o niepowodzeniach.

Zaintrygował mnie, naprawdę, cholera, zaintrygował.

To wystarczyło, żebym zaczął czytać *Księgę Spirali*.

Przygotowując się do materiału o byłych więźniach zakładających obłądne kulty, przeczytałem bardzo dużo podobnej literatury. Podobnej, nie identycznej, bowiem Księga tylko sprawiała wrażenie kolejnego traktatu mistyczno-religijnego albo krótkiej historii wszechświata, oraz wykładu demonologicznego, zapisu kilku dziwacznych teorii spiskowych, podręcznika czarnej magii czy historii archeologicznej wyprawy do Syrii. Styl, w jakim tekst został napisany, sugerował, iż jego



autorem jest kompletny wariat. Erudycja oraz umiejętność łączenia zjawisk i ich przedstawiania świadczyła, iż ów wariat jednak wiedział, co pisze.

*Księga Spirali* momentami mnie oczarowywała, niekiedy przerażała, najczęściej jednak zadziwiała.

Ciągle i uparcie powracał wątek kosmologiczny. Według J.K.L., kimkolwiek on był, nasz wszechświat jest jednym z wielu, narodził się i umrze. Wszystkie rzeczywistości układają się w kształt spirali, są poszczególnymi punktami na krzywej. W centrum tej figury tkwi obłąkane bóstwo, wszechwiedzące, ale bezradne. Posiadające wiedzę absolutną, o wszystkim, co się zdarzyło i zdarzy, o każdym fakcie oraz o tym, jak te fakty są połączone. Azathoth, ślepy bóg-idiota, bezsilny wobec swojej własnej natury.

Autor zapewniał w jednym z ostatnich rozdziałów, iż w trakcie badań nad starożytnymi kultami zdobył umiejętność nawiązywania telepatycznej łączności z Azathothem. Dzięki niej śmiertelnik może uzyskać całą wiedzę, jaka dostępna jest bóstwu. Ten, kto wypowie inkantację, znajdując się w środku narysowanej spirali, będzie jak bóg. Problem polegał na tym, iż w tym samym czasie zaszczytu łączności z Azathothem mógł dostąpić tylko jeden człowiek. Jeden jedyny. Wypowiedzenie zaklęcia przez kogokolwiek powodowało, iż to na wypowiadającego przechodziło błogosławieństwo, a poprzednik je tracił. Coś jak sztafeta – chociaż drużyna liczy wielu zawodników, biegnie tylko jeden z nich. Gdy skończy, pałeczkę przekazuje następnemu. Opis rytuału zaczynał się patetycznie: *„łączność z Nim, z wiedzą i przeklętym błogosławieństwem uzyskuje się jedynie przez kombinację woli, znaku graficznego i wypowiedzianego na głos wezwania”*.

W tym momencie, gdy przeczytałem zapewnienia J.K.L., iż zna potężne zaklęcie, powinienem odłożyć książkę. W najlepszym wypadku, a tak po prawdzie, to powinna ona wylądować w koszu. Wszechświaty równoległe, wszechwiedzące bóstwo,

zaklęcia, rytuały odprawiane na środku magicznego znaku – dobranoc, dziękujemy państwu. Zmarnowany czas na czytanie trzystu stron okultystycznego bełkotu.

Jednak nie potrafiłem ani wyrzucić *Księgi Spirali*, ani głośno przyznać się przed samym sobą, iż to nie tylko bełkot. Na tych trzystu stronach porozsiewano bardzo dużo niepokojących uwag. Niepokojących mnie, bo dotyczących moich problemów i moich przeżyć. Strona dwudziesta dziewiąta: adnotacja o przyszłym czytelniku, który czyta te słowa po zerwaniu ze swoją kobietą. Tydzień wcześniej odeszła ode mnie żona. Strona sto sześćdziesiąta ósma: opis rozterek przyszłego czytelnika, który został uznany za świetnego dziennikarza, a w ogóle go to nie cieszy. Strona dwieście osiemdziesiąta dziewiąta: i po raz kolejny, przyszły czytelnik pojawia się zupełnie niespodziewanie, w czasie opisu kolejnej teorii okultystycznej, jako człowiek, który z nikim już się nie kontaktuje, tylko ze swoim przyjacielem lekarzem. Faktycznie, dwa dni wcześniej widziałem się z Markiem.

Ciekawe? Na pewno. Niepokojące? Żeby tylko. Tak naprawdę, cała sytuacja zaczęła mnie przerażać, co nie zmieniało faktu, iż dalej intrygowała. Wiele uwag dotyczących tego nieznanego przyszłego czytelnika, pomimo że równie osobistych, nie odnosiło się do mnie. Chyba... tak teraz podejrzewam... były to pułapki zastawione na moich poprzedników. Zapewne kilka z nich podziało na Moszczyńskiego.

Odłożyłem księgę na biurko i dopiero wtedy zauważyłem, że rogi ostatnich czytanych kartek poznały wilgotne plamy. Faktycznie, gdy jestem mocno zdenerwowany, pocą mi się ręce. Uruchomiłem komputer, postanowiłem, że zanim dokończę lekturę, sprawdzę, czy wszechwiedzący Google zna tytuł albo ma jakieś informacje o facecie, który przysłał księgę.

Na słowa kluczowe „The Book of Spiral” wyszukiwarka wyrzuciła mi masę typowych bzdur. Jakaś książka fantasy, jakieś gry RPG, jakieś psalmy. Lepiej poszło z hasłem „Kazi-

mierz Moszczyński doktor”. Pierwszy wyświetlił się nekrolog. Świętej pamięci zmarły odszedł od nas śmiercią tragiczną w dniu, w którym paczka została nadana.

Cudownie, facet nadaje mi dziwną księgę, która oprócz tego, że jest szalonym podręcznikiem czarnej magii, to jeszcze jest rozprawą o moim życiu, a potem sobie umiera. Jak? Dlaczego? Po co?

Jedna z moich koleżanek ze studiów pracowała w lokalnej gazecie rzeszowskiej. Dziewczyna kiepsko wylądowała, szczególnie jak na tak ogarniętą dziennikarkę. Z pewnością mogła zdobyć szczegółowe informacje o śmierci naukowca z tamtejszej uczelni.

– Zieliński? – Ludzie ze studiów zawsze zwracali się do mnie po nazwisku. – A czemuż to gwiazda reportażu dzwoni do szarej myszy z prowincji?

– Ewka, to poważna sprawa, potrzebuję informacji o śmierci jednego faceta z Rzeszowa.

– Aha, potrzebujesz informacji. No przecież...

– Tak, cholera. Facet zmarł trzy dni temu, nazywał się Kazimierz Moszczyński. To ważne, odwdzięczę...

– O, pewnie, że się odwdzięczysz. Jak wszyscy w tej branży, psia wasza mać. Dobra, będę coś miała, to zadzwonię.

Ewka okazała się naprawdę ogarniętą osobą. Oddzwoniła tego samego wieczoru z paskudną opowieścią. Archeolog, znany w swoim środowisku. Sporo publikacji, dobra opinia. Niedawno miał problemy psychiczne. Nikt się nie spodziewał, wszyscy wstrząśnięci. Skończył paskudnie, znaleźli go w godzinę po tym, jak powiesił się w mieszkaniu. Wcześniej widziano go na pocztce, ale wobec faktu, że okoliczności zdarzenia ewidentnie wskazywały na samobójstwo, nikt nie dochodził, co też obłąkany doktor wysłał.

Gdy odłożyłem telefon, zupełnie już suchymi dłońmi sięgnąłem po wolumin. Dokończyłem go, przeczytałem wszystko wraz z opisem rytuału. Zakłęcie jest strasznie trudne. Choć w Księdze znajdowały się wskazówki, jak je wymówić, to dopiero

za trzecim razem udało mi się je wypowiedzieć poprawnie.

Pewien jestem, że gdyby teraz udało mi się je przypomnieć, wypowiedziałbym je właściwie już za pierwszym razem.

Trzy tygodnie później *Księgę Spirali* otrzymał Marek. Tego, co działo się przez ten czas, prawie w ogóle nie pamiętam. Podobnie jak samej inkantacji.

Prawie nic.

Jest więc nadzieja.

\*\*\*

Magdalena jest najmilszą pielęgniarką. Angażuje się w szczerzy, niewymuszony sposób. Nie tylko mówi do mnie, ale i cierpliwie czeka, aż napiszę odpowiedź. To ona zorganizowała mi laptopa. To ona podniosła mnie z podłogi w tę noc, gdy próbowałem wypowiedzieć zaklęcie.

Bo widzicie, cholera, ja je sobie przypominałem. Całe, co do jednej sylaby.

Dziesięć stron zapisanych notatek i wola wystarczyły, żeby wygrzebać z poranionych wspomnień brzmienie inkantacji. Miałem władzę nad prawą ręką, mogłem też ześlizgnąć się na podłogę i pełznąć ku środkowi pokoju. Mogłem również narysować spiralę. Nie byłem w stanie jednak wypowiedzieć zaklęcia.

IA TH'AILOG! KTHAKLUTH M'KHUR'G ATH'LYS!

Jeśli ma się sprawny aparat mowy, prawidłowe wypowiedzenie skomplikowanej inkantacji jest trudne. Jeśli ma się krtań i gardło zupełnie niewładne, jest to po prostu możliwe. Dwie godziny powtarzania w myślach, prób wyszeptania, napisania ręcznie, wypowiedzenie bezwładnymi wargami nie przyniosły rezultatu. Oprócz woli i znaku graficznego do nawiązania łączności konieczne jest jeszcze wypowiedzenie na głos zaklęcia.

I tak znalazła mnie Magdalena, skulonego w płodowej pozycji, w środku absurdalnego symbolu namalowanego flamastrem. Nawet nie mogłem wyładować swojej frustracji, niemowa

tak samo nie wypowie zaklęć, jak i przekleństw. Pielęgniarka podniosła mnie, pomogła z powrotem zająć pozycję w fotelu. Pytała, jak może mi pomóc, zawiadomiła też lekarza. Psychiatra zareagował typowo, zwiększając dawkę neuroleptyku.

Nie zażywałem ich, nauczyłem się oszukiwać, wkładając tabletki pod język. Mogłem myśleć, musiałem wręcz, tyle mi pozostało. Gapić się przez okno i usiłować wszystko zrozumieć.

Bo widzicie, cholera, to wszystko wydawało mi się bez sensu.

Skoro połączyłem się ze ślepym bogiem-idiotą, skoro nabyłem jego wiedzę, to poznałem również przyszłość. Dlaczego więc zgodziłem się na to, co mnie spotkało? Nałożyłem na siebie błogosławieństwo szalonego bóstwa, które okazało się przekleństwem. Oszalałem, co zmusiło mnie do rezygnacji z przekleństwa. Przekazałem je swojemu przyjacielowi, który miał podobne ambicje, z tym że skierowane ku wiedzy medycznej. Jego spotkała śmierć, mnie kalectwo. Spisanie całej historii, tygodnie spędzone w fotelu, gapienie się przez cały czas w rozgwieżdżone niebo.

Dlaczego się na to zgodziłem? Mogłem przecież palnąć sobie w łeb jak Marek, albo powiesić się jak Moszczyński.

I chyba podejrzewam, o co w tym wszystkim chodzi.

O was.

To nie tylko wy domagacie się wiedzy, to wiedza domaga się was. Jest jak wirus, przenoszony z jednego nosiciela na kolejnego. Jednak aby zakażenie nastąpiło, nosiciel musi odprawić rytuał, czego nie robi, jeśli nie będzie zaintrygowany. Nikt już nie chce czytać opasłych ksiąg, szczególnie jeśli zawierają obłąkane treści. Mnie zaintrygowała księga, ale was zaintryguje coś krótszego.

Na przykład dziwny tekst znaleziony w Internecie.

Cała ta makabra, nasze szaleństwo i nasze samobójstwa, wszystko to miało na celu uwiarygodnienie historii. Co innego znaleźć obłąkany tekst, co innego znaleźć obłąkany tekst napisany przez znanego samobójcę, który przyjaźnił się ze znanym

samobójcą, a w tym obłąkanym tekście wymienia z imienia i nazwiska innego znanego samobójcę.

Nie jest przypadkiem, że mam władzę w prawej ręce. Mogę nie tylko stukać nią w klawiaturę, mogę też pewnie trzymać żyletkę. Trzeci trup jeszcze bardziej zaintryguje czytelnika.

Macie zapisany tekst zaklęcia, macie podstawowe informacje o rytuale. Macie też trzy nazwiska uwiarygadniające historię. Wygooglujecie je sobie. Przecież w Internecie można znaleźć wszystko. Naprawdę, teraz już wszystko.

*Marzec 2015*

## Piotr Borowiec

Ojciec Alicji i Julii, fan klasycznej literatury grozy i muzyki rockowej. Jest stałym współpracownikiem bloga *Okiem na Horror*, oraz kwartalnika „OkoLica strachu”. W 2015 roku jego opowiadanie *Tam, gdzie mieszkają szczury* otrzymało nominację do Nagrody Polskiej Literatury Grozy im. Stefana Grabińskiego. Swoje teksty publikował w magazynach „Krypta”, „Histeria”, „Grabarz Polski”, „Brama”, antologiach *Horror na Roztoczu 2* oraz *Krew zapomnianych bogów*. W 2015 roku nakładem wydawnictwa Gmork ukazał się zbiór jego opowiadań *Wszystkie białe damy*.



*Nikt go nie będzie zastraszał! Ani żywi, ani martwi nie mieli prawa wymuszać na sędzim Rzeczypospolitej korzystnego dla siebie wyroku. Nikt!*

**Góra krzyży**

Tytuł najnowszego zbioru opowiadań Piotra Borowca brzmi jak manifest i w istocie jest tak, że ta książka nie mogłaby nazywać się inaczej.

Borowiec wykorzystał atrybuty literatury gatunkowej nie po to, by je po prostu powielić, by zapisać kolejne strony iteracjami znanych już motywów, ale by przez narzędzia, jakie ta literatura oferuje, przeczytać współczesną Polskę. I o tym przede wszystkim są Polskie upiory: nie o manifestacjach nadprzyrodzonego, ale o demonach, które zamieszkują ludzkie serca: o zakorzenionych w historii, w mentalności, w uwarunkowaniach środowiskowych złośliwych duchach, których podszepty zmieniają ludzkie życie w piekło na ziemi.

Jednocześnie znać w tych tekstach rękę oddanego wielbiciela klasyki grozy. Jej zderzenie z całkowicie współczesną problematyką i scenografią wypada w książce Borowca rewelacyjnie i stanowi chyba najlepszy dowód na to, że horror dysponuje wielkimi możliwościami spełniania nieśmiertelnego postulatów Conrada: wymierzania sprawiedliwości widzialnemu światu.

**Wojciech Gunia**

Zbiór dwunastu opowieści niesamowitych, inspirowanych motywami z klasycznej literatury grozy, w nowej, czasem przewrotnej formie, w których elementy nadprzyrodzone płynnie wpleciono w ludzkie losy, aby z ich pomocą pokazać, że najgorszym potworem zwykle jest człowiek.

[www.gmork.pl](http://www.gmork.pl)



[fb.com/wydawnictwo.gmork](https://fb.com/wydawnictwo.gmork)

